



TADEUSZ KORZON.

Warszawa, a z nią kraj cały, postanowiła wyrazić swe najgłębsze uznanie, swą wdzięczność, swój szczerzy podziw dla półwiekowej zmuśnej, a owocnej pracy Tadeusza Korzona. Przed laty oto 53, w roku 1859, z pod młodzieńczego pióra Korzona wyszła pierwsza praca — „Pogląd porównawczy na procedury karne francuską a angielską“, drukowana w wydawnictwie ministerium sprawiedliwości i nagrodzona złotym medalem. Przyszły autor „Dziejów wewnętrznych za Stanisława Augusta“ miał wówczas ledwie lat 20, przyszedłszy na świat 28 października 1839 roku. Stanowisko więc w świecie naukowym zdobył sobie wcześniej, wyjątkowo wcześniej. Zawdzięczał to wybitnym zdolnościom i w równej mierze nadzwyczajnej pracowitości i sile woli, cechującym go już jako małego chłopca — ucznia gimnazjum w Mińsku Litewskim, w którym w dwunastym roku umieścił go

ojciec Adam, urzędnik jednej z miejscowych instytucji rządowych. Gimnazjum mińskie, jakkolwiek dalekie od doskonałości, było jeszcze wówczas rajem w porównaniu do tych czasów, jakie nastąpiły w niem po powstaniu 1863, gdy sławny ksiądz Senczykowski został katechetą. Wśród nauczycieli nie brakło wprawdzie nieuków i niedbałych, było jednak i paru profesorów polaków, którzy przechować zdołali dawne tradycje szkoły polskiej. Nauka wielu najważniejszych nawet przedmiotów miała poważne braki, ale za to uczniom pozostawiano czas do dopełnienia pozaszkolnego swej edukacji. Więc też wychowawcy klas starszych za czasów przebywania Korzona w gimnazjum łączyli się w kółka, które wspólnie brały lekcje prywatne tych zwłaszcza przedmiotów, których nauka szwankowała w szkole. Dzięki takim dopełniającym wykładom zdołał so-



PROF. T. KORZON w r. 1909.
fot. dr. T. Korzon.



bie Korzon już w Mińsku zdobyć znajomość języków francuskiego i niemieckiego, a umocnić się także w łacinie. Nie zaniedbywał samokształcenia, czytając w domu dużo, szczególnie dzieł historycznych. Rogalskiego historia Węgier, Dziekońskiego historia Hiszpanii dały mu pierwsze podwaliny znajomości historii powszechnej. Musiała być pracowitość Korzona wówczas nie mała, skoro pomimo tych wszystkich zajęć miał czas jeszcze i na korepetycje, a nauki szkolnej nie tylko nie zaniedbywał, lecz przeszedł całe gimnazjum jako jeden z najlepszych uczniów. W sierpniu 1855 roku po ukończeniu gimnazjum z medalem srebrnym, z pięćdziesięciu paru zaoszczędzonymi rublami przybywa Korzon do Moskwy i zapisuje się na uniwersytet. Stara stolica Rosji liczyła wówczas w swych murach liczny zastęp młodzieży polskiej, głównie z Litwy i Białorusi pochodzącej. Wśród tej polskiej kolonii nie brakło jednostek wybitnych, które później zdobyły sobie w społeczeństwie poważne stanowisko, jak Jan Karłowicz, niedawno zmarły historyk, etnograf i lingwista, jak Lutrzykowski, Gołemberski, Bolesław Limanowski, jak wreszcie Henryk Bukowski, przez całe życie wierny druh Korzona. Było i paru wybitnych profesorów polaków, wśród których wyróżniał się wybitny klasyk Józef Piechowski, a także Henryk Wyziński, który właśnie w rok po przybyciu Korzona do Moskwy objął katedrę historii powszechnej, i wkrótce zdobył sobie duży wpływ na młodzież, zgromadzając ją chętnie w swym domu. Uniwersytet moskiewski stał wówczas u szczytu swej świetności, wielu profesorów rosyjan, służąc nauce i najszczytniejszym ideałom, umiało sobie zdobyć szacunek i poważanie zarówno wśród swych rodaków, jaki wśród polaków. Wykłady np. prof. Granowskiego, popularnego wówczas niesłychanie historyka, pozostawiały niezatarte wspomnienia w jego słuchaczach, nie należących do narodowości rosyjskiej. Młodzież polska, wśród której Korzon się obracał, pracowała wówczas z zapalem, mało czasu poświęcając życiu towarzyskiemu. Korzonowi dnia nie wystarczało na studia i całe noce śleczął nad książkami. Nic też dziwnego, że zwrócił na siebie uwagę profesorów. Gdy

w roku 1859 ukończył studia, usiłowano zatrzymać go przy uniwersytecie, ofiarowując tymczasem dobrze płatne lekcje w miejscowych szkołach średnich. Ale Korzon nie po to niestrudzenie się kształcił, by siać światło wiedzy wśród obcych. Wolał raczej wyrzec się świetnej kariery i wygod materialnych, byle pracować wśród swoich na rodzinnej ziemi, więc postarał się o nieświetnie płatną posadę nauczyciela historii w Kownie. W półtora roku widzimy Korzona na stanowisku sekretarza komisji gubernialnej do spraw włościańskich. Młody uczoney pragnął przysłużyć się społeczeństwu przy rozstrzygnięciu jednego z najważniejszych zagadnień — przy uwłaszczeniu włościan. Działalność jego na tem polu nie była długotrwała. Nastąpiły manifestacje 1861 roku, mające dowieść, że Kowno reaguje na to, co się działo w Warszawie, i niebawem zaczęły się areszty, zesłania, konfiskaty. Korzon po dziesięciomiesięcznym więzieniu został wraz z młodzieńką żoną wywieziony do Orenburga. Zaczęły się lata zgryzot i zmartwień; stęsknieni za krajem, doprowadzeni do rozpaczki temi wieściami, które dochodziły z Litwy, rozgramianej wówczas przez Murawiewa, znaleźli się młodzi państwo Korzonowie jednocześnie w ciężkim położeniu materialnym. Trzeba było z początku zamieszkać w suterynie, malować dekoracje teatralne lub portrety orenburskich znakomitości, zamiast pogрузić się w archiwach i w bibliotekach. Ale Korzon mężnie znosił lata wygnania, które na szczęście nie trwało długo. W roku 1867 wraca do kraju, osiada naprzód w Piotrkowie, gdzie oddaje się pracy nauczycielskiej i z zapalem pracuje nad powetowaniem lat straconych w Orenburgu. Nie mając możliwości w Piotrkowie zająć się szerszą działalnością naukową, pisze Korzon tymczasem artykuł o zamku trybunalskim w Piotrkowie, przyozdabiając go własnoręcznym widokiem. Nakoniec w r. 1869 otrzymuje pozwolenie na zamieszkanie w Warszawie. Jest więc nakoniec w atmosferze kulturalnej, ma możliwość korzystania z bibliotek i archiwów, dopiero też teraz rozpoczyna się dla niego okres gorączkowej, a tak owocnej pracy. Oczywiście warunki tej pracy nie były zbyt świetne, trzeba się było zamęczać lekcjami



po szkołach i domach prywatnych, by zarobić sobie na chleb powszedni. Dopiero wieczorami, gdy inni używają odpoczynku, Korzon brał się do pracy naukowej. Zrazu postanawia dać społeczeństwu dobre podręczniki do historii powszechnej, brak których dotkliwie dawał się odczuwać. I oto stopniowo, tom za tomem, powstają „Dzieje starożytne, historia średniowieczna, nowożytna i najnowsza“. Dzieło to, przerobione i uzupełnione przez Korzona przy drugim wydaniu, oddaje nie małe usługi pedagogom polskim i dotąd jest w naszej literaturze niezastąpione. Opracowywanie podręczników nie było jednak w stanie pochłonąć całkowicie nieustrudzonego pisarza. Jednocześnie zbiera po archiwach, nie omijając nawet najdrobniejszych zbiorów prywatnych, materiały do dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta. Po wielu latach pracy przygotowawczej dzieło to, iście pomnikowe, ukazuje się w latach 1882—1886, rozpoczynając nową erę w opracowaniu dziejów Polski XVIII wieku. Kultura wewnętrzna od lat wielu leżała wówczas odłogiem. Uczni skupiali swe siły na dziejach politycznych, na historii literatury i sztuki. I oto Warszawie przypadł zaszczyt wywołania pod tym względem przemów. Pawiński i Jabłonowski swymi źródłami dziejowemi zbudowali podwaliny dziejów wewnętrznych Polski w wieku XVI, Korzon zrobił to dla epoki stanisławowskiej. Dzięki niemu wiemy, chociaż w przybliżeniu, jaka była liczebność narodu polskiego w epoce rozbiorowej, dzięki niemu wiemy, jaki był stan rolnictwa, przemysłu i handlu, dzięki niemu wreszcie dowiedzieliśmy się, że rozwój gospodarczy Polski szedł za Stanisława Augusta w równym tempie, jak rozwój kulturalny. „Dzieje wewnętrzne za Stanisława Augusta“ są wprost niewyczerpaną skarbnicą, do której musi zajrzeć każdy badacz, pracujący nad czasami Stanisławowskimi. Między innymi musi zwrócić się do nich i każdy krajoznawca polski, interesujący się przeszłością miast naszych. Znajdzie tam nie tylko dane statystyczne, ale cały szereg cennych współczesnych opisów, rzucających światło na wewnętrzne życie grodów naszych w dobie międzyrozbiorowej. Pełne tablic statystycznych, obliczeń, cytat, całego aparatu nau-

kowego, którego według ustalonej opinii tak się boi cała nasza publiczność, monumentalne dzieło Korzona rozchodzi się z zadziwiającą szybkością, tak że już w 1897 r. przystępuje autor do nowego wydania, zdobiąc je tym razem mnóstwem cennych ilustracji. W tem nowem wydaniu, wykonanem w wielkiej ilości egzemplarzy, rozeszły się „Dzieje wewnętrzne“ po całym kraju, trafić zdołały literalnie do każdej polskiej rodziny, wszędzie budząc podziw dla swego twórcy. Popularność „Dziejów wewnętrznych“ to niewątpliwie jeden z największych tryumfów Korzona.

Po „Dziejach wewnętrznych“ przyszły monografie, w których Korzon pragnął oddać hołd dwóm wielkim bohaterom narodowym, uwielbianym przez siebie: Kościuszcze i Sobieskiemu. Dzieje obu z nich to w znacznej części dzieje oręża polskiego, i oto pisząc ich biografie musiał Korzon wziąć się do badań nad historią wojen i wojskowości. Informacje, czerpane z literatury strategicznej i z dokumentów, uzupełnia Korzon w dysputach, staczanych z historykiem batalistą, pułkownikiem Konstantym Górskim, a po jego śmierci z Bronisławem Gembarzewskim. Historia wojen staje się powoli ulubioną areną studyów Korzona. Zbadawszy dzieje wojen, prowadzonych przez Kościuszkę i Sobieskiego, przerzuca się niestrudzony badacz do coraz odleglejszych epok, z lubością śledzi czyny wojennego geniuszu Zamoyskiego, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, widząc w nich niedocenionych obrońców, wybawców narodu od zachłanności najeźdźców. Później następują badania nad Grunwaldem, prowadzone z równym zapalem i równą starannością. Na propozycję Krakowskiej Akademii Umiejętności rozszerzył jeszcze bardziej Tadeusz Korzon swe studia nad wojskowością, i oto powstało z nich trzytomowe dzieło „Dzieje wojen i wojskowości w Polsce“, które ukazało się w początku roku bieżącego, a obecnie jest już całkowicie wyczerpane — nowy tryumf dla autora w roku jubileuszowym.

Ostatnie swe dzieła napisał już Korzon w murach Ordynackiej Biblioteki Zamoyskich, na której czele stoi od roku 1897. Wśród pamiątek po wielbionych przez siebie bohaterach, Janie i Marcinie Zamoyskich, wśród



rękopisów bezcennych, uporządkowanych przez siebie umiejętnie pracuje Korzon od lat 16 z tą samą młodzieńczą ciągle energią, zawsze wierny nauce i swym ideałom, służąc za doskonały przykład dla młodszych pracowników na niwie naukowej, których zawsze chętnie widzi u siebie na swych środowych zebraniach. Mąż niespożytej zasługi zyskał sobie dowody uznania ze strony naszych ciał naukowych. Najwyższa nasza

instytucja naukowa — Akademia Umiejętności od dawna szczeni się zaliczaniem Korzona do grona swych członków czynnych, obecnie zaś trzy instytucje warszawskie: Tow. Krajoznawcze, Tow. Opieki nad zabytkami i Tow. Miłośników Historii, mianowały Tadeusza Korzona swoim członkiem honorowym, pragnąc w miarę sił swych uczcić człowieka, który całe życie pozostał wierny hasłu swemu: „najpierw czyni — później słowa“.

Dr. Ignacy Tadeusz Baranowski.



NA NIŻU DNIEPROWYM.

Jednego z pierwszych dni czerwca 1905 r. wsiadłem w Odesie na parowiec, odchodzący w kierunku Oczakowa i Chersonia, w celu zwiedzenia limanów Niżu dniewprawy. Noc była bezksiężycowa, gwiazdzista, pogodna, pozostałem

więc na pokładzie, przypatrując się ruchowi w porcie i gorączkowemu ładowaniu statku. Oba pomosty, górny i dolny, przepelnione były ludźmi, bo oprócz podróżnych liczny zastęp prowadzących zwiększał tłok; zlecenia, pożegnania krzyżowały się w rozmaitych językach. Nakoniec świst oznajmił ukończenie ładowania — parowiec trzykrotnie zahuczał basowo, przeciągle — hałas, komenda, zdejmowanie pomostu i ostatnie pożegnania. Śruba zaszumiała, parowiec lekko zawibrował i ruszyliśmy. Coraz dalej od brzegu, już ludzie w przystani zleli się w jedną masę ruchomą. Mijamy wielkie statki oceaniczne, całą flotylę żaglowców

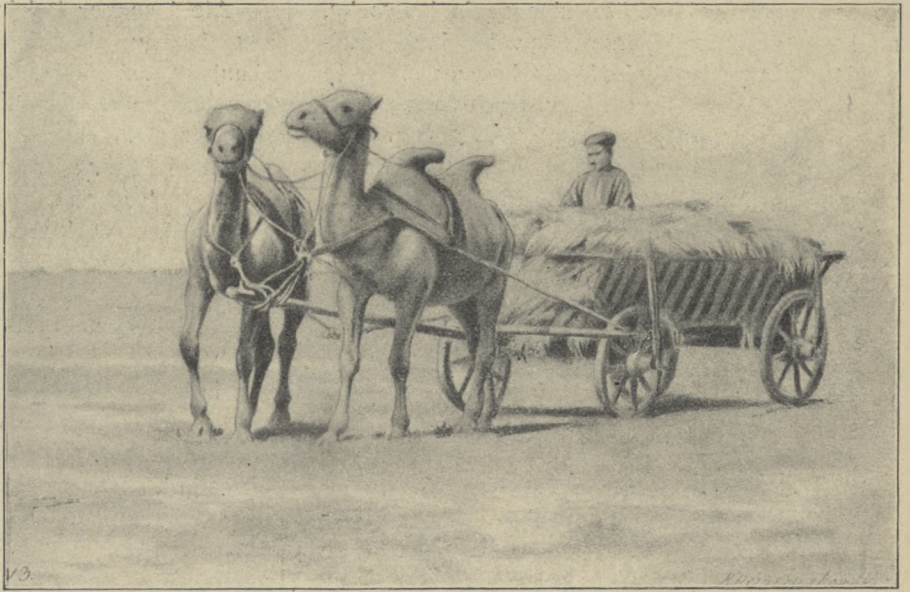


DOMY RYBACKIE NA NIŻU.

rys. K. Przyszchowski.



i oto już pierwszy wał (tama portowa granitowa). Latarnia morska błysnęła swym okiem czerwonym, by niebawem drugie żółte okazać. Rozległa panorama portu i miasta pozostaje poza nami na lekko zmarszczonej powierzchni wód, wężykowate refleksy światełek gonią za nami, rozsypują się coraz szerzej, kołyszą oderwanymi blaskami. Światło elektryczne bulwaru góruje nad innymi i od czasu do czasu



rys. K. Przyszychowski.

ZAPRZĄG W WIEL. BEŁDY NA NIŻU.

dolatują do nas dźwięki sentymentalnego walca. Wypływamy coraz dalej na morze—już tylko poza nami pozostaje łuna na niebie, — dym, wybuchając z komina, zdaje się łączyć nas górą nadpowietrzną drogą z opuszczanym miastem, gdy równoległe z nim wlecze się po wodzie za nami białym szlakiem ślad piany. Coraz dalej w ciemną przestrzeń, maszyna huczy, woda o burty statku chlupocze monotennie, bez przerwy... W oddali, od strony południowo-wschodniej jakieś połyski ślizgają się po wodzie—to światła reflektorów od Tendry, gdzie czarnomorska flota wojenna odbywa swe nocne manewry. Kto mógł wówczas pomyśleć, że za parę dni kilka tych kolosów zapisze swe imię tak groźnie w historii pozostającej za nami, gwarnej i rozbawionej w tej chwili Odesy.

Minęliśmy Kinburn, oczakowskie forty i limanem dniewnym zbliżamy się do Chersonia — słońce się wylania z poza mgieł czerwone, zalewa przepyszną gamą kolorów olbrzymie przestrzenie wód. Od brzegu do brzegu 40 wiorst—prawy, nieco wyższy, widzi się dokładniej — lewy, tylko olbrzymimi trzciniami się zarysowujący, dalej łączy się z równiną krymską i ledwo dostrzegalną linią na horyzoncie widnieje.

Statek zwraca ku prawemu brzegowi, gdzie na cyplu stanowiącym międzyrzecze, przy zlanii się wód Dniepru i Bohu leży przystań i miasteczko Stanisław, założone, jak podanie niesie, przez carową Katarzynę i tak nazwane na pamiątkę króla Stanisława Augusta. Był on osadą polską, zaludnioną po rozwiązaniu konfederacji barskiej, jak inne w tych miejscach osady —

o czym niejako świadczą nazwy: Konfederatówka, Lubomirska, Poniatowska, Polskije Chutora i inne.

Im bliżej Chersonia, tem Dniepr węższym się staje. Coraz liczniej zielenią się wyspy, których archipelag tworzy rozległe pławnie, dzielące wody Dniepru na liczne rzeki większe i mniejsze, płynące samoistnym korytem, jak: Konka, Rwacz, Ingulec, Mały Dniepr i inne. Główne koryto zwane Girła, ujęte sztucznie w kamienie—głębokie, dostępne dla morskich statków, ciągnie się do Chersonia, który z oddali wygląda jak ogromna wieś, rozrzucona po wzgórzu, zbiegającym ku rzece; grupy dachów i kopuł, ponad którymi góruje sobór, jakichś parę wyższych domów i więzienie—nad brzegiem tartaki, warsztaty okrętowe, fabryki narzędzi rolniczych, w zatoce statki rozmaitej wielkości i typu. Było jeszcze wcześniej, lecz już niezwłocznie odchodził inny mniejszy parowiec, idący w górę rzeki, a dopiero po południu wysiadłem przed ogrodem i domem znajomego obywatela, skąd miałem przedsiębrać dalsze wycieczki. Z tarasu tego ogrodu rozciąga się rozległy widok na Dniepr, po którym ciągle się przesuwają parowce pasażerskie, holowniki, ciągnące długie szeregi galar (baże)—żaglowce najrozmaitszego typu lub tratwy obładowane drzewem z Polesia, które przeprawiwszy się w porze rozlewu przez porohy, teraz z biegiem wody dążą do składów drzewa i tartaków w Chersoniu.

W oddali zielenieją pławnie, często lasem olchowym i wierzbowym porośnię — stanowiące



po opadnięciu wód obfite sianozęcia i wypasy, na które przez rzekę przewożą w łodziach, litwinami tu zwanych, konie, bydło i owce; stada te często przebywają tam do następnego rozlewu całą zimę, tu prawie zawsze bezśnieżną i łagodną, co ułatwia możność utrzymywania po większych folwarkach wielbłądów, używanych jako siła pociągowa. Zwiedzałem z przyjemnością ładne pławnie, które przecina mnóstwo większych rzek i drobnych strumyków w rozmaitym kierunku; nad brzegami tu i owdzie spotyka się fermy i domy rybackie lub szałas, wiecznie zięjące dymem, by opędzić miliardy komarów. Dla ochrony przed tymi krwiożerczymi napastnikami rybacy urządzają sobie postania pod budami w rodzaju namiotów;—po całodziennem podkurzaniu ich, otuliwszy się szczelnie ledwo można usnąć. Rozlewające się w rozmaitym kierunku wody tworzą wśród większych wysep jeziora, dochodzące rozmiarami do kilkuset morgów, obfitujące w najrozmaitszego rodzaju ryby, połów których stanowią bogactwo tych stron; łowią je dużymi niewodami, rozmaitemi sieciami lub w tak zwane kły—są to zagrodzenia na wodzie z drągów i oczeretu w najrozmaitsze zygaki i zakręty zbudowane; ryby, raz się tam dostawszy, już wypłynąć z tych labiryntów nie mogą.

Rzeki te, jak np. Rwacz, płyną szybko — inne leniwo przesuwają swe wody, często wężykowato ciągnąc się pomiędzy gajami wierzb i olch, zaroślami łożyny i trzcinami, dochodzącymi wysokością dwóch do czterech metrów; są one pełne nawodnej i podwodnej roślinności, w czerwcu zaś powierzchnie wód pokryte bywają przeróżnymi kwiatami wodnymi; królują śliczne, blade-różowe nenufary i grążele ze swymi dużymi jasno-zielonymi okrągłymi liśćmi na tle drobnych brunatno-purpurowych listków wodnego orzecha ¹⁾. Rzeczki te miejscami są tak wąskie, jak grotty zielone, z góry i z boków trzcinami zakryte, przez które już nie za pomocą wiosła—ale tylko „szostem“ (drągiem długim) swój kajuk (łódź) przesunąć można. Nie tylko zresztą bogactwo flory urozmaica te ostępy—przeróżne ptactwo gnieździ się tam; z miejsc suchszych dolatuje śpiew słowika, w trzcinach świergocze moc drobnych ptaszków, co chwila napotyka się ślady dzikich kaczek i gęsi, od czasu do czasu czapla załopocze skrzydłami o ściany oczeretu lub łabędź poważnie na czyste wody wypłynie. Myśliwy, szczególnie w porze przelotów, uciechy ma tu sporo.

Ale i spacer łodzią wzdłuż prawego wyższego brzegu głównego koryta jest nie mniej zajmujący, niż błędzenie po pławniach. Szare skały wapienne grupują się malowniczo, liczne zatoki urozmaicają widok—co chwila, szczególnie bliżej osad, spotyka się duże „duby“ (statki żaglowe) ładowane produktami nadbrzeżnych gospodarstw; w końcu lata są to najczęściej kawony—przewożone tą drogą do Chersonia, Nikolajewa i Odessy, skąd już kolejami żelaznymi dostają się na rynki innych miast.

Wracając raz późnym wieczorem ze spaceru koło wsi Królewszczyzny, przypadkiem natrafiłem na scenę pierwotnej archaiczności — była to noc św. Jana (obchód Kupaty). Znam zwyczaje ludowe na Ukrainie i Podolu, lecz tam nic podobnego nie spotykałem. Na brzegu rzeki, pod urwiskiem zacienionem drzewami, rozpalono ogniska, śpiewające młodyce otaczały je dużym kołem, a inne w stroju Ewy jedna po drugiej wskakiwały do wody, przepływały pewną przestrzeń, by następnie obiegły koło i z kolei przeskoczywszy przez ognisko, znowu zanurzyć się w wodzie;—nie wiem jak długo to trwało, bo nie chąc płoszyć zabawy czy obchodu, popłynęliśmy dalej w cieniu nadbrzeżnym.

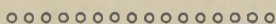
Podczas innej wycieczki zwinęliśmy do zatoki niedaleko wsi Rybolczy; o sto sążni od wody na środku piaszczystej polany stał tam bardzo stary rozłożysty dąb zwany „Pjanj dub“ ¹⁾. Kora jego w wielu miejscach ma liczne ślady dawnych nasieków. Według podania zatoka ta była ostatnim etapem zaporoczców przed wypłynięciem na morze, tu ostatnie wyprawiali oni „trapezy“, a spiwszy się należycie wysypiali się pod tym dębem. Świadek ten przeszłości jest w ogromnem poszanowaniu — znalazłem koło niego kilka strzał i kul.

Gdy wracałem stamtąd, słońce już zachodziło, niebo złociło się, przechodząc w purpurowo-fioletowy szary kolor, długie cienie kładły się po wodzie—nad łąkami żałośnie zawodziły czajki—oczeret szumiał, a gdzieś z dali dolatywał śpiew rybaka. I zdało mi się, że za chwilę ujrzę inne czajki, wyłaniające się z zakrętów ostrowów. Lecz nikt nie ukazał się i nic z tej surowej, dzikiej, lecz nie pozbawionej poetycznego uroku przeszłości nie pozostało — chyba ów dąb, świadek naoczny, coś o tem szepcze lub wiatr wyszumi w trzcinach, w mowie nie dla każdego zrozumiałej.

K. Przyszychowski.

¹⁾ Orzech wodny (*Trapa natans*) ma liście do 2 cm. długości dochodzące. (*Przyp. Red.*)

¹⁾ Ob. „Ziemia“, tom II (r. 1911), str. 569.





CZARNOGÓRZE.

Wybuch wojny na Bałkanach zwrócił uwagę powszechną na ten małeńki, ale butny kraik, który pierwszy rozpoczął kroki wojenne przeciwko wielokrotnie odeń silniejszej Turcyi. Nazwa Czarnogórze jest obecnie na ustach wszystkich. A jednak mało kto u nas zdaje sobie bliżej sprawę z charakteru i właściwości tej krainy. Z wielkiej bowiem fali podróżników i turystów polskich, poszukujących wrażeń po wszystkich krajach Europy, jednostki tylko zawadzały dotychczas o ten górski zakątek, żyjący własnym, wysoce odrębnym i oryginalnym życiem. I w literaturze naszej podróżniczej brak dotychczas książek, któreby zaznajamiały nas bliżej z tym krajem i z tym narodem, który w najtrudniejszych warunkach, wśród trwających setki lat walk z najeźdźcami zdołał bez przerwy zachować swą niepodległość.

A tymczasem dojazd do tego kraju nie jest wcale tak trudny. Ze znanego dobrze wielu polakom portu węgierskiego Fiume (chorwackiej Rjeki) wygodnym pospiesznym parowcem towarzystwa Ungaro-Croata dostać się można w ciągu jednej doby do portu Kotoru, leżącego już niemal na samej granicy Czarnogórze. Podróż wzdłuż brzegów Dalmacyi, zwłaszcza na wiosnę lub jesienią, czyli w czasie najdogodniejszym do zwiedzenia wybrzeży adryatyckich, daje moc pięknych i interesujących wrażeń. Stare grody weneckie: Zara, Sebenico, Spalato, i tworzący przez setki lat odrębną rzeczpospolitą stary chorwacki Dubrownik (włoska Ragusa), łączą w przedziwny sposób piękno średniowiecznej kultury włoskiej z urokiem pierwotnych krain wschodnich. Najpiękniejszą jednak jest bez wątpienia ostatnia część tej podróży, gdy statek z otwartego morza wpłynie do wrzynającej się daleko w głąb łądu zatoki, mającej nazwę Bocche di Cattaro. Od północy i wschodu otaczają zatokę tę ogromne góry. Wody jej to się wiją wązkimi kanałami, to rozlewają się w ogromne jeziora, aż w końcu, w samej głębi, uderzają o kamienne obramowanie niedużego dziś portu handlowego, niegdyś potężnej twierdzy weneckiej, Cattaro czyli Kotoru.

Stąd już w ciągu sześciu do siedmiu godzin jazdy powozem po dobrej drodze, wspinającej się na ogromne góry, gdzie otwierają się przepiękne widoki na całą zatokę Kotorską

i błękitniejące w odaleniu wody Adryatyku, można dostać się do stolicy Czarnogórze. Droga zaraz za miastem zaczyna iść w zakosy aż hen ku szczytowi Łowczenu, odgraniczającego od od morza kraj czarnogórski. Na wysokości 904 metrów nad poziomem morza woźnica wskazuje biczem nieco większy kamień przydrożny: jest to granica dwóch państw — Austrii i Czarnogórze.

Dalej już cała droga aż do Cetynii idzie wśród skał i posępnych górskich widoków. Po drodze omijamy miasteczko Niegusz, skąd wywodzi się rodzina, panująca obecnie w Czarnogórze. Miasteczko małeńkie, ciche i niemal bezлюдne, szczyci się posiadaniem pałacu jego królewskiej mości Mikołaja czarnogórskiego. Jest to surowy, prawdziwie spartański dom murywany z kamienia, o jednym piętrze i bez żadnych ozdób. Kilkadziesiąt ubogich drzewek tworzy cały ogród, — zbytek nieznanym zresztą w tym kraju.

W odległości godziny drogi za tem miasteczkiem wydostajemy się na położoną na wysokości 1310 metrów nad poziomem morza przełęcz Kriwaczko Zdrjeło, skąd otwiera się jedyna w swoim rodzaju panorama na Czarnogórze: dokoła góry, góry i góry, a w małych kamienistych dolinkach grupy chat, kryjących się przed wiatrem, a może i wrogiem, wśród szarych skalnych załamów.

Czarnogórze na obszar (9,080 kilometrów kwadratowych) jest mało co mniejsze od naszej gub. kieleckiej (10,073 kil. kw.), gdy jednak gubernia ta ma blisko milion mieszkańców, w Czarnogórze jest ich razem około 230 tysięcy. Są to niemal wyłącznie górale, ludzie silni, rośli i zdrowi, przyzwyczajeni do ustawicznych walk, jakie toczyć muszą z turczyńcem i z niewdzięczną, surową przyrodą kraju. Charakter całego tego kraiku przypomina mocno wnętrze naszych Tatr, i górale czarnogórcy mają też w charakterze dużo podobieństwa do naszych baców i juhasów. Tylko ciągłe walki o wolność i wynikające stąd zrozumienie położenia swego narodu, wyrobiły w czarnogórcach pewną szlachetną dumę, która na każdym kroku uderza tutaj przybysza z dalekich krajów polskich.

Rozproszeni po małych wioskach górskich, czarnogórcy wytworzyli tylko parę znacznie-



DWORY, ZAMKI

Czor



RUINY ZAMKU W CZORSZTYNIE OD ZACHODU.

fol. M. Wisznicki.

O 22 klm. od Nowego Targu, w miejscu gdzie Dunajec, zbliżając się ku Pieninom, zaczyna przerzynać łożysko swe w skałach wapiennych, ni m wreszcie o kilkanaście klm. dalej wyżłobi ów słynny z piękności kanion w poprzek Pienin, przy stosie do Krościenka na urwistej skale (589 m. n. p. m.) wznoszą się ruiny zamku czorsztyńskiego; u stóp skały wieś i dwór hr. Drohojowskich, dzisiejszych właścicieli Czorsztyna.

O zamku czorsztyńskim najdawniejsze wzmianki pochodzą z XIII w. Bolesław Wstydlivy w 1241 r. ukrył się

szych osad miejskich. W stolicy kraju, Cetynii, jest mało co więcej nad 3 tysiące mieszkańców. Poza tem największemi miastami w tym kraju są: Podgorica, mająca dziewięć i pół tysiąca mieszkańców, i Nikszicz — z góry trzy tysiące.

Samo miasto Cetynia (czyli Cetinje, jak mówią miejscowi mieszkańcy) położone jest na płaskiej, nieco wydłużonej równinie, otoczonej ze wszystkich stron górami, których ostre szczyty i nagie skalne zbocza tworzą jedyne w swoim rodzaju tło tej niezwyklej pod każdym względem stolicy. Robi ono zrazu na turystę z Europy wrażenie dużej wsi. Murowane z kamienia, parterowe lub jednopiętrowe domki ciągną się szeregiem po obu stronach szerokiej i czysto utrzymanej „Katunskiej ulicy“. Ludność ta sama, co i we wsiach, spotykanych po dro-

dze. Nawet strój jest ten sam zupełnie: niebieskie spodnie do kolan, białe onucze na nogach, czerwony żupanik bez rękawów, na wierzchu biała sukmana, krojem naszych krakowskich, tylko przepasana szerokim pasem, i okrągła czarna czapeczka na głowie.

Na tem małym miasteczku tle rzuca się najpierw w oczy kilka położonych na uboczu pięknych obszernych pałacyków; są to, jak się okazuje, gmachy poselstw obcych. Mocarstwa europejskie, mające własne interesy na Bałkanach, wprost przeliczują się w kosztowności i wspaniałości gmachów swych poselstw. Najokazalej niewątpliwie wygląda „Carsko-Rusko Poslanstwo na Cetinju“, najskromniej zaś — poselstwo tureckie, lokujące się w jakiejś parterowej, na różowo tynkowanej chałupinie.

Dopiero przy końcu owej ulicy Katunskiej



I PAŁACE.

sztyń.

tu przed tatarami po klęsce lignickiej; tędy prowadziła droga z Polski do Węgier, więc tędyjechała Jadwiga do Polski; tu pożegnał ojczyznę nazawsze Warneńczyk w 1440 r., udając się do Węgier. Od XV w. Czorsztyn był siedzibą starosty aż do r. 1797. W 1615 r. na zamku czorsztyńskim pojmany został po nieudanym rokoszu Kostka Napierowski, w 1769 r. bronili się tu konfederaci barscy. W 1790 r. zamek częściowo spłonął od pioruna i stopniowo stał się ruiną. W skałach czorsztyńskich nad Dunajcem są liczne groty.

M. W.

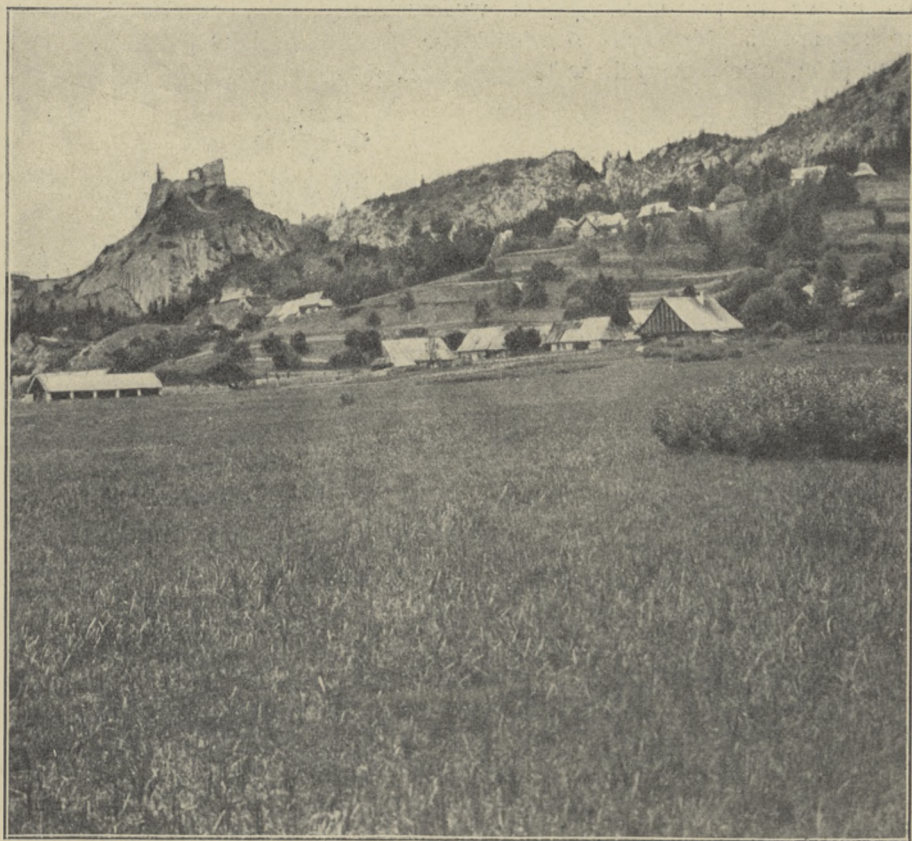


foto. M. Wisznicki.

CZORSZTYN — ZAMEK I WIEŚ OD WSCHODU.

dostrzegamy parę większych domów, stojących osobno i zaopatrzonych w straż przed wejściem. Jesteśmy tu już w centrum miasta. Przy szerokiej przecznicy (ulica Dworska), tworzącej rodzaj placu, stoi piętrowy dom z balkonem, wyglądający na rezydencję jakiegoś zamożnego szlachcica. Jest to już jednak sam „dwór“ czyli rezydencja panującego szczęśliwie od lat przeszło pięćdziesięciu księcia, a obecnie króla Mikołaja I-go. Niema w tym „dworze“ żadnych niezwykłych osobliwości. Sala audyencyonalna zawiera wspaniały garnitur ciężkich mebli i na ścianach — portrety cesarzy rosyjskich. Sam król w czasach normalnych chętnie przyjmuje odwiedziny nawet całkiem skromnych gości cudzoziemskich. W ogrodzie, jakim otoczony jest ów „dwór“, pokazują starą jodłę, pod którą przez długie lata książę wówczas jeszcze Mi-

kołaj w patryarchalny sposób słuchał skarg swych poddanych i wydawał od razu wyroki.

Oprócz tej rezydencji królewskiej, Cetynia posiada jeszcze parę znacznie skromniejszych „dworów“, w których mieszkają z rodzinami synowie panującego, dalej — instytut dla dziewcząt, ufundowany w r. 1869 kosztem cesarzowej Maryi Teodorówny, kaplicę dworską, klasztor, koszary, więzienie, szpital, fabrykę nabożów, gmach, zwany „Biliardo“, w którym mieszczą się ministerya, gimnazjum męskie i sąd, oraz budynek, mieszczący teatr, kasyno i czytelną publiczną. Oczywiście, o teatrze stałym nie może tu być mowy. Odbywają się też w nim tylko przedstawienia amatorskie, niekiedy z udziałem „prawdziwych“ artystów z teatru serbskiego w Białogrodzie, oraz rzadkie koncerty wędrujących po półwyspie Bałkańskim artystów.



W czytelnicy, mieszczącej się w dużej jasnej sali, leżą na ogromnym stole dzienniki i pisma w liczbie, dochodzącej chyba do setki. Uwzględnione są tu przedewszystkiem wydawnictwa w rozmaitych językach słowiańskich. Obok dwu pism, wychodzących w Czarnogórze, spo-

czywa na honorowym miejscu petersburskie „Nowoje Wremia“; dalej widzimy wydawnictwa serbskie, chorwackie, bułgarskie, słowieńskie, czeskie i rosyjskie. Brak tylko zupełny druków polskich.

C. D. N.

Edward Maliszewski.



Jeszcze kilka słów o Mereczu. ²⁾ (dok.)

Od r. 1805 wykładano 3 nowożytnie języki, ilość uczących się też inna: w roku szkolnym 1806—82 (klas wszystkich razem rachując 6); w następnym (klas już 5) — 78; w 1808 — 22 (klas tylko 4); w 1809/10 — 41, w 1810/11 — 43 (3 klasy), w 1811/12 — 57 (w 5 klasach); potem pomiędzy rokiem 1812—1814 szkoły, zdaje się, zupełnie zamknięte były, a od roku 1814 do 1819 istniała tylko szkoła parafialna ¹⁾; w 1819/20 uczniów 81; klasy I, II, IV. W tym czasie przełożony klasztor zaniósł prośbę ²⁾ do uniwersytetu o zapomogę (co też uwzględnione zostało) i referował o stanie szkół finansowym; z tego się dowiadujemy, że Komisya Edukacyjna przeznaczyła była na szkoły mereckie 300 rb. (zredukowawszy to na późniejszą monetę), ale przez cały czas swego istnienia ani grosza w tym celu nie zapłaciła; klasztor wówczas posiadał folwark Kebisze ze wsią Horodyszczce nad Niemnem i procent od kapitału 5,550 rubli (według otaksowania późniejszego); po roku 1795 folwark odpadł do Prus i przepadł dla klasztoru; również przepadły i kapitały, na procent złożone, a szkoły tym sposobem pozostały bez stałych środków utrzymania i klasztor jedynie utrzymywał je własnym staraniem, wydając na to, co tylko mógł i miał. O tej obywatelskiej dominikanów mereckich zacnej

działalności godzi się nie zapominać i wdzięczność mieć za to...

W roku 1820/21 zastajemy tam znowu cztery klasy, zapewne niektóre z dwuletnim kursem i uczniów 79; zwiedzał je wtedy Kożuchowski, a na początku maja 1822 roku zjechał na wizytację Jan Chodźko, detalicznie nas informując o stanie szkół i miasteczku nawet; korzystamy z tego sprawozdania i podajemy szczegóły.

Merecz, miasteczko rządowe, składało się wówczas ze 188 domów drewnianych przeważnie żydowskich; zaledwo kilka było murowanych; starożytny ratusz murowany z dość wysoką wieżą—w ruinach; szczególnie dominowały gmachy po-jezuickie z cegły zbudowane; kościół po jezuitach zamknięty; w klasztorze ich mieszkają dominikanie, których kościół w części z drzewa, a w części z muru, a klasztor drewniany, nowo wyrestaurowany niezamieszkały; dominikanie mają *curam animarum* przy starożytnej farze, a proboszczem jest tam ks. Jundziłł, prof. uniwersytetu wileńskiego; do fary należy folwark z 20 chat, nadto pewne kapitały. Okolica Merecza leśna, niedość zaludniona; żydzi, jak wszędzie, zajmują się handlem, przeważnie spławem drzewa, a chrześcijanie rolnictwem. Na brzegu Niemna, przy ujściu do niego Mereczanki, wznosi się dość znaczna góra usypana, zapewne niegdyś miejsce obronne, śladów jednak fortyfikacji nie znać, ale znajdują tam znaczną ilość kul działowych. W pobliżu Merecza powiat trocki, bardzo rozległy, niewiele ma bogatszych obywateli i dlatego

¹⁾ Wiadomości o szkołach w XIX w. na podstawie dokumentów, znajdujących się w muzeum Czartoryskich.

²⁾ Dr. J. Bieliński w znakomitem dziele o Uniwers. wileń. I, p. 249.



mało z tej sfery uczniów w tej szkole, posiadającej pomiędzy uboższą szlachtą pewien rozgłos i cieszącej się uznaniem.

Utrzymanie ucznia roczne na stancyi w mieście (turbowanych nieraz przez postoje wojskowe) kosztuje 40—60 rubli; w jednym pokoju mieszka ich zwykle po kilku; w klasztorze od 60 do 90 rubli; dozorcóm domowym, t. zw. dyrektoróm, płacono od 10 do 30 rubli rocznie. Wizytator nie znalazł dawnych ksiąg szkolnych, z wyjątkiem księgi obrad domowych, zaczętej w 1784 r., a także „opisu osobliwszych przypadków i dziejów szkolnych“, od tegoż czasu, ale bardzo mało w tem interesujących szczegółów. Uczniowie dobrowolnie składali, zwykle od złotego do rubla na rok, pewne kwoty, które szły na pomoce naukowe i opał szkolny. Szkoła mieściła się w oficynie drewnianej o trzech izbach dość obszernych, ale niskich i niezbyt jasnych; tam bywały trzy klasy, a czwarta w celi klasztornej lub refektarzu; ławki zużyte. Klasztor zbudowany w podkowę, ale już stary i nieco zrujnowany; sklepienia się zaczęły psuć szczególnie w skrzydle zachodniem, we wschodniem znajdował się kościół jezuicki. Zakonnicy mieszkali w celach jeszcze dobrych. Z licznej biblioteki jezuickiej uratowali dominikanie ok. 220 dzieł; pism peryodycznych nie odbierano żadnych; podręczniki otrzymywano z Wilna. Nauka wymowy i poezyi, mówi wizytator, wszystkie inne przedmioty przewyższyła przez szczególną nauczyciela gorliwość; to też te szkoły pożytecznie usposobić uczniów mogą do uniwersytetów i posług a urzędów rozmaitych cywilnych. Kaligrafii nie uczyli (?), nie mając wzorów dobrych, ale są tacy, co dobrze piszą, zaznacza Chodźko, który zastał w klasie I z początkową uczniów 37, w II — 25, w III — 15, w III drugoletniej 7, w IV na pierwszym roku 5, a na drugim 7, ogółem 96. Dozorców 8. Uczniowie przeważnie mniej zamożni, nawet ubodzy, ze szlachty, kilku mieszczan i kilku włościan z za Niemna. Uczniowie w znacznej części tutaj naukę rozpoczynają; rzadko który ze szkółki jakiej parafialnej przybywa; karność ścisła, porządek, spokojność, uległość względem starszych; dla leniuchów czasem kary cielesnej używano. Mszy św. słuchali uczniowie codziennie, spowiadali się 4 razy na rok; przed Wielkanocą odbywali rekolekcye; Nowy Testament czytano codzień po mszy.

Na czele szkół stał wtedy o. Dominik Dawciewicz (ur. 1789, prof. złożył w 1808) już od 1819 roku, S. Th. L., znany pedagog, który położył wiele zasług w Mereczu na polu oświaty i nauczania; o. Ludwik Łapiński (ur. 1795,

prof. 1817), też S. Th. L., uczący z takim powodzeniem wymowy, historii i prawa, o. Jan Kanty Kozłowski (ur. 1795, prof. 1813), również lek. teol., wykładał matematykę i fizykę; o. Pantaleon Józefowicz (ur. 1797, prof. 1819) gramatykę; o. Hieronim Świącicki (ur. 1797, prof. 1819) — arytmetykę, geografję i religję; do języków nowożytnych osobni byli nauczyciele.

Ciekawe też jeszcze inne statystyczne dane podaje Chodźko.

W owym czasie (1822 r.) w powiecie trockim liczono szlachty 821, mieszczan 61, włościan 14,350; z tego się uczyło: szlachty 186 (a więc w stosunku 1 : 4); włościan 43 (t. j. 1 : 3338), o mieszczanach nie mówi, mało ich bardzo być musiało. Szkółki parafialne w tym powiecie: w Niemonajciach przy kościele parafialnym uczniów 6, w Daugach też — uczniów 20; w Wysokim Dworze u dominikanów uczniów 7, w Smiliszkach przy kościele paraf. uczniów 26; w Trokach u bernardynów 7 (około roku 1783 mieli oni tam szkoły, w których do retoryki uczyli); tamże przy kościele parafialnym (w Nowych Trokach) ok. 20 uczniów; więc osiemdziesięciu kilku uczniów razem; a oprócz tego uczyli jeszcze oo. benedyktyni w Trokach.

W 1825 roku zmodyfikowano zakłady naukowe i w Mereczu powstała właściwa szkoła państwowa, nie prowadząca już bezpośrednio do studyów uniwersyteckich. Prof. uniwersyteckiego, Podczaszyński, zjechał tam na wizytacyę w 1826 roku i tak referował o tej uczelni. O. Dominik Harasymowicz (ur. 1799, prof. 1815), S. Th. L., rodem z Białostockiego, stał na czele szkoły, od lat kilku pracując już na polu pedagogicznym; wykładał język rosyjski i francuski; pilnie i gorliwie spełniał swoje obowiązki. O. Alojzy Sadkowski (ur. 1801, prof. 1815), też lektor teologii, rodem z Lepelskiego, uczył matematyki i historii naturalnej — pilny, zdolny i gorliwy. O. Hipolit Narwoysz (ur. 1796, prof. 1813), z Telszewskiego, dawał lekcye łaciny i języka polskiego, okazując przy tem mało zdolności. O. Remigiusz Permin (ur. 1800, prof. 1817), też z Telszewskiego, do geografii i języka niemieckiego, czyniąc zadość obowiązkóm. O. Piotr Lebedziński (ur. 1797, prof. 1818), był katechetą, rodem z Białostockiego — „pilny, ale niema taktu“. Uczniów w kl. wstępnej — 6, w I—17, w II—13, w III—4, ogółem 40, wszyscy katolicy i ze stanu szlacheckiego; dozorców domowych 3. Każdy nauczyciel dawał 30 lekcyi tygodniowo; lekcye



trwały po 1½ godziny; opieszających zupełnie uczniów prawie nie było.

Po spaleniu się gmachów jezuickich (w 1822 roku) dominikanie przenieśli się do swego klasztoru, a siedziba niegdyś oo. jezuitów bez naprawy stała w ruinach; dom szkolny reparowali oo. dominikanie, jak mogli. Złych nałogów i znacznych występków pomiędzy uczniami nie spostrzeżono; pilnością się odznaczyło uczniów w kl.: I—4, w II—3, w III—1.

Ostani personel zakonny i nauczycielski w Mereczu, jaki znamy, pochodzi z roku 1827 po kapitule prowincjalnej, litewskiej, odbytej w Poporciach (druk w Wilnie u Manesa i Zywła, in 4^o, str. 42).

Przeorem był wtedy o. Czesław Michałowski, subprzeorem o. Jacek Trapp, promotor Różańca, o. Hieronim Jankiewicz kuratorem, o. Piotr Lebedziński kaznodzieją, o. Bonawentura Choncki, S. Th. L., prefektem szkolnym, nadto profesorem historii i języka rosyjskiego, o. Bartłomiej Szablowski, S. Th. L., uczył arytmetyki i geometrii, o. Bazyli Półtorak dawał lekcje języka polskiego i łaciny, o. Dominik Pisarski, S. Th. L., fizyki, o. Jacek Snarski wykładał język francuski. Nadto mieszkał tam jeden braciszek, szafarz, Józefat Taraszewicz.

W r. 1828 było uczniów w klasie I—24, w II—21, w III—6 i w IV—6, ogółem 57,

a w roku 1829/30—47, 1830/31 zaś nauczycieli z dozorcą 7 i uczniów 50.

Dr. Józef Bieliński w wyżej cytowanym dziele tak powiada o ostatnich chwilach tego zakładu naukowego:

„Dozorca szkoły doniósł (na początku 1831 roku) raportem o ucieczce z pod straży gubernera szkoły mereckiej Monkielewicz; minister doniósł o tem cesarzowi, i nastąpił najwyższy rozkaz: szkołę zamknąć, dominikanów wysłać do Wilna dla dalszego o nich rozporządzenia wojennego gubernatora“.

Na zakończenie przypominamy, że już za czasów króla Kazimierza Jagiellończyka Merecz należał do dóbr królewskich¹⁾, mających z początku namiestnika, potem dzierżawcę, nakoniec starostę, a konstytucją sejmu grodzieńskiego przy końcu 1793 roku utworzono, pomiędzy innymi, województwo mereckie z pow. mereckim, preńskim i ejszyckim, ale to postanowienie wykonania nie miało i wojewoda merecki, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie był mianowany²⁾.

J. M. G.

¹⁾ M. Lubawskij, „Oblastnoje dielenie Lit. Rus. gosd., Moskwa 1892 r.“

²⁾ Józef Wolff, Senatorowie i dygnitarze W. Ks. Lit., Kraków 1885.



Witebsk i Witebszczyzna. 13)

O ile miłość śmiałej, wesołej, zalotnej i wicznie szczebiotliwej dziewczki polskiej jest w przejawach swych pełna namiętnego uczucia, chimeryczna, gwałtowna, niestała, o tyle miłość zawsze wstydlivej, skromnej i tęsknej białorusinki bywa zwykle cicha, głęboka, gorąca, pełna samopoświęcenia. Polka pod wpływem uczucia staje się dowcipna, cięta i wyzywająca; białorusinkę miłość również umysłowo przetwarza, ale w inny sposób: ona w takich razach, częstokroć aż do zadziwienia, staje się bystrą i poetyczną w swych myślach, głęboką w poglądach. Ona w przeciwieństwie do dziewczki polskiej, zwłaszcza, gdy już pewna jest wzaje-

omości, traci głowę, staje się uległą, lasi się „baziuli“, przyhołubia się do kochanka, nieustannymi obdarza go pieścizotami i znosi mu kwiaty uszczknięte, aby miłemu wciąż ją przypominały. Białorusinki wogóle umieją mówić o kochaniu i kochać umieją. Postępujemy tedy, co nam kobieta białoruska mówi o swoich uczuciach. Ona za kochankiem „pójść gotowa na kraj świata“, onaby „za niego życie oddała, w ogieńby wskoczyła“. Gdy do niego idzie, to tak jej na sercu lekko, iż zda się, że „ptuszkaju, matylóm lecić“. Jej oczy nigdy widokiem miłego nie mogą się nasycić, a serce nacieszyć, ona „sokola“ swego, swoje „oczko



w głowie“ tak miłuje, „szto duch, cielo odda-
łał“, ona od stóp do głów „wycalawałał jähò,
wysmaktałał“, ona radaby, „jak ten wąż, okrę-
cić się w okół jego szyi, aby go z objąć swych
nigdy nie wypuścić“. Jej, „jak rybie z wodą,
tak trudno rozstać się z miłenkim“. Ona, im
więcej miłuje, tem bardziej staje się nieśmiałą,
wstydliszą. Białorusinkę w miłości cechuje
nadmierzająca wierność, zakochanej nikt za ża-
dne skarby świata, „nawet senator, nawet król“,
zjednaćby nie potrafił. Dla niej „miły“ jest
„prytulny, jak klenowy listók“, ona zawsze
o nim myśli: „i u kaścieli, i na dzieli¹⁾ i u pa-
ścieli“, ona o nim wciąż marzy, on się jej bar-
dzo często ukazuje we snach. Ona, byle go
gdziekolwiek spostrzegła, już jej „w oczach
motylki latają“, a serce „jak młotem wali w pier-
siach“ i byle go ujrzała, to jej wiatr od niego
wiejący tak pachnie, „jak rozkwitłe lipy“. A, gdy
„miły“ ukaże się wśród pola, to w jej oczach
klaniają się i ślaniają przed nim łany zboża, na
sianożęciach różnobarwne kwiaty, a w sadzie
i w lesie nad przechodzącym unoszą się wszy-
stkie gałązki na drzewach; w dzień znów po-
sępny i chmurny, jej „sokół miły“, jej „czaro-
wnik“ świeci jej jak słońce, a w noc ciemną
zastępuje gwiazdy. Kobiecie białoruskiej wszy-
stko na świecie może zbrzydnąć, ale nie ko-
chanek, ona go więcej kocha niż siostrę, brata,
rodziców; ona go „tak miłuje, jak Boga, bo dla
niej on Bogiem jest“, on wszystkim; ona pie-
sząc go i całując, „za niego by zawsze pra-
cowała“, ona, „gdyby ktoś godził na jego ży-
cie, zabójcy do nógby się rzuciła, błagając, aby
i ją ze świata zgładził. bo dla niej bez miłego
świat grobem, a życie męczarnią“. W pojęciu
białorusinki poetycznej, a kochającej „ze wszy-
stkich żył i sił“, „miłość prawdziwa nie jest
grzeszna, bo od Boga pochodzi“, sam Bóg ser-
ca kochankom podczas snu zamienia i przez to
one tak do siebie ciągną i „lipną“. Ale ten po-
ciąg serdeczny, ta „magnaść“ niczem nieprze-
parta, od której ani snu, ani spokoju nigdy nie-
ma, sprawia jej tak wielkie cierpienie, że nie-
raz aż kochanka błaga: „a mój ty sokoliku mi-
lusieńki! wybij ty choć raz mnie, wybij „pa-
szczoczkach“, po karku, po główce, wybij, wy-
bij, ale dobrze, ale mocno wybij, to może już
nie będę cię tak kochać, może się przestane
warjować“. „Miłość — dla białorusinki — gor-
sza jest od czadu i najcięższej choroby, bo czad
odurzy na dzień, na dwa, choroba później prze-
minie, a „kachanio padczás menczyć cety wiek“. Ona:
„nie wierzysz?“ — upewnia kochanka —

dalibóg prawda! że mnie głowa z myśli a z du-
mek na trzy części się rozpada, a serce na
dziesięć“. „Oh! Oh! — biaduje — kab ty ad-
dau sabaccy, to, szto u mianié na umié, to
janá skrucilaśiab¹⁾“. Ale mimo to ona śmierci
się nie lęka „bo kto na tym świecie się kocha,
to na tamtym dubelt dubeltami miłuje, bez za-
dnego już bólu i cierpienia“.

Tak się białorusinka zapatruje na miłość,
takie są jej wyznania miłosne i takie zwierze-
nia, — dodajemy: zwierzenia osobiste, na jotę
nie ubarwione, nie upoetyzowane i zapisane
dosłownie. Tysiącna to zaledwo czątką po-
zółkłych zapisek, znajdujących się w tece, do-
praszającej się o napis: „tu się grzechy mie-
szczą młodzieńczego wieku...“ A jednak grze-
chy te dla psychologa zawierają bogaty ma-
teryał do ciekawej analizy duszy białorusinki, do
szerokich uogólnień i wniosków. Charaktery-
styka serca chłopki na podstawie istotnych
uczuć i wrażeń stokroć jest więcej warta, ani-
żeli mozolnie opracowana z cytat, wyjętych
z niezliczonych pieśni miłosnych, jak to czy-
niono dotąd, nie bacząc, że wiele z nich jest
pochodzenia nieludowego, albo i obcego, a inne
znów są zabytkami tak odległej epoki, że obja-
wy uczuć, pod wpływem całkiem innych wra-
żeń i odczuć, nie miałyśmy mogły uleść w ciągu
wieków zmianom. Pozwalam więc zaznaczyć
tu sobie, że dotąd nie posiadamy jeszcze wier-
nej analizy duszy chłopki polskiej, na podsta-
wie jej wyznań i zwierzeń, a luka ta najwymo-
wniej nam świadczy, jak powierzchownie do-
tychczas badano lud, goniąc przedewszy-
stkiem za literaturą ustną, która do utrwalenia
była najłatwiejsza.

Na duszę, na serce ludu, najmniej dotąd
zwracano uwagi.

Zarys niniejszy wieleby pozostawił do życze-
nia, gdybyśmy w nim nie napomknęli jeszcze
o kilku cechach wysoce charakteryzujących ten
naród, jak niemniej całkiem ominęli jego reli-
gijność. Najsamprzód co do tej ostatniej. Nie
zadziwi chyba nikogo po tem, co się już mó-
wiło o bierności tego narodu i zimnej rozwa-
dze, gdy powiem, że białorusin tem się odró-
żnia od polaka, że w jego duszy żarliwości re-
ligijnej niema ani źdźbła. Że tak jest, dowo-
dzą jego masowe przejścia z obrządku na obrzą-
dek, jak np. na schyłku w. XVIII, jak po r. 1831.
On wiary we własne siły całkiem nie posiada,
bo wiara wypływa z serca nie z rozumu, który
nim kieruje. Więc i z rezygnacją bierną dziś-
by przeszedł dajmy na to na kalwinizm, jutro

¹⁾ „Na dzieli“ — na robocie we dworze.

¹⁾ Wściekła by się.



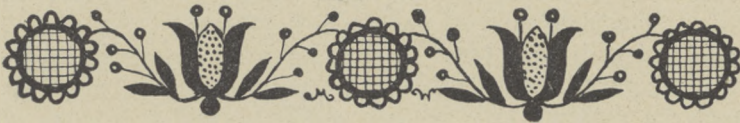
na luteranizm, rozumie się pozornie tylko, gdyby mu kazano. Rozum bowiem głową muru białorusinowi przebić nie pozwala, ani pod prąd płynąć, więc też i całkiem bezradnie, wobec siły ręce opuściwszy, wszystkie w takich razach swe grzechy wytrząsa na przemoc, i pociesając się, że wszystkiemu na świecie prędzej czy później koniec, w wewnętrznym przekonaniu mniema w dodatku, iż postąpił tak, jak należało. Wprawdzie więcej uczucia religijnego, zwłaszcza w przywiązaniu rz.-katolików do swego kościoła, daje się spostrzegać w zachodniej połaci ziemi białoruskiej (w gub. grodzieńskiej i wileńskiej), ale objaśnić należy, że mieszkańiec tych okolic jest mieszkańcem, w którego żyłach pół na pół z białoruską płynie krew jądziwińska, ukraińska, litewska, jak niemniej lechicka. Bądź co bądź, tak tu, jak i nigdzie na Białorusi, nie zauważysz takich zewnętrznych objawów uczucia, jak owe nasze gromadne z głębi serc podczas kazań wylatujące westchnienia, jak żarliwe bicie się w piersi, jak te rzewne, u stóp Królowej Niebios, a dławiące najnieczulsze nawet krztanie płacze i jęki tysięcy. Apatyczny białorusin w przybytku bożym jest sztywny i zimny, ekstaza nie licuje z jego naturą, z zachowania swego przypomina żywo protestanta. Tu szczególny kult N. M. Panny nie dochodzi do tej miary co w lechi-

tów ziemi, tu imię Jej częściej w strasznych klątwach występuje, niż w strzelistych modlitwach¹⁾. Białorusin Boga się boi, polak go miłuje; dla ostatniego Stwórca jest przedewszystkiem dobrotliwym ojcem, dla białorusina również takim, ale przedewszystkiem sędzią sprawiedliwym, gospodarzem świata, walczącym nieustannie z siłą demoniczną, której się on niemniej, a bodaj, że i więcej lęka, niż samego Boga. Wiara bowiem tego ludu jest bardzo głęboka, lubo, jak nigdzie, mało się opiera tutaj na tem, co kościół naucza. Praktyki uzewnętrzniające przynależność białorusina do jednego z wyznań chrześcijańskich nie są liczne: kilka sakramentów, które raz w życiu lub raz do roku od duchownego swego otrzymuje, częste a uroczyste, połączone z libacyami świętowania doroczne, bardzo rzadkie zachodzenia do cerkwi, oraz nad wyraz ściśle zachowywanie postu i, zdaje się, nic więcej.

C. D. N.

M. F.

¹⁾ Wszystkie klątwy białorusinów stereotypowo poprzedza frazes: „Bożã Najświensza Matko daj“ — i tu dopiero przeklinający wyrzuca życzenie takie np. — „kab cie pa śmierci krukami u jamu jak sabaku wałaczyli!“ Dodać trzeba, że białorusin wyrzuca tego rodzaju tyrady głosem podniesionym, bez zaciekłości mazurskiej, jak kapłan anatemę.



Listy do Redakcyi.

Wyczytawszy w numerze 41 „Ziemi“, że autor artykułu o „Krajoznawstwie w pamiętnikach Paska“ niema pewności—która ze wsi, noszących nazwę Gosławice, stanowi gniazdo Pasków, pośpieszam poinformować go, że są to Gosławice w parafii Wieliszewie, a więc pod Łowiczem, jak tylko przypuszcza. Czytamy bowiem w źródłach historycznych, że w r. 1552 omawiana wieś była w posiadaniu trzech braci Pasków. Jedną część miał Mikołaj Pasek, dziedzicząc na 2½ lanach; drugą Stanisław—na 2 lanach, i trzecią Jakób Pasek — również na dwóch (Źródła dziejowe. Wielkopól. Pawiński, tom II, stro na 103).

Nadto zaznaczyć jeszcze muszę, że autor błędnie twierdzi, jakoby Gosławice pod Koninem stanowiły królewską wieś. Wieś ta bowiem od wie-

ków należała do starożytnego rodu Godziembitów którzy następnie przybrali przydomek Laskarysów (według Niesieckiego Łaskarzów). W niej się urodził i umarł w r. 1426 Andrzej Laskarys, biskup poznański.

Okolo połowy XVII w. dziedziczy tam Konstanty Lubrański, także herbu Godziemba. W połowie XVIII w. Gośławice konińskie należą do Józefa Łąckiego, a od r. 1819 po dzień dzisiejszy do hr. Kwileckich.

ks. Muznerowski.

Tuszyn.

oooooooooooo



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Zbiory naukowe Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — w ciągu ostatnich lat — głównie z powodu zorganizowanych dwóch wystaw krajoznawczych (Zdobnictwa ludowego i Krajobrazu polskiego) bardzo znacznie zwiększy-

ły się.

Obecny lokal, zajmowany przez Towarzystwo nasze w Warszawie w Alejach Jerozolimskich № 29 — jest okazami etnograficznymi, przyrodniczymi i archeologicznymi, fotografiami, mapami i b. poważnie przedstawiającą się biblioteką — literalnie wypełniony. Miejsca dla pracowników i na studia na miejscu nie ma wcale, a lwia część okazów zgromadzonych w roku bieżącym — pozostawać musi dla tego samego powodu — w skrzyniach, na składzie.

W tych warunkach oddanie zbiorów krajoznawczych do naukowego użytku publicznego jest niemożliwe.

Na ostatnim zebraniu miesięcznym Towarzystwa radzono nad palącą potrzebą posiadania własnego domu, gdzieby nietylko posiadane już zbiory we właściwy sposób na widok publiczny rozłożone być mogły, lecz i dalszy rozwój Towarzystwa byłby zagwarantowany.

Zaproponowano Zarządowi Głównemu poczynienie energicznych starań, aby nareszcie Dom Krajoznawczy w Warszawie stanął, wskazywano, że już drogą jednorazowego opodatkowania się członków Towarzystwa, których lista warszawska liczy około 2500, pokazałoby na ten cel można zebrać sumę. Odwołanie się zaś do szerszego ogółu o poparcie tej sympatycznej i wprost nieodzownej dla krajoznawstwa naszego sprawy niewątpliwie bez pożądanego skutku nie pozostałoby.

Zarząd zamierza wystąpić narazie do ogółu swych członków czynnych i popierających o złożenie na cel ten jednorazowego daru gwiazdkowego. Dotychczasowe wpływy z drobnych ofiar na cel ten wyniosły pięćset dwadzieścia rubli, czyli mniej więcej czterdziestą część tego, z czym do zdobycia własnej siedziby krajoznawczej już przystąpićby było można.

Ostatnia 25-cio rublowa ofiara, złożona na ten, cel wpłynęła od d-ra Franciszka Meijera, który w ten sposób uczcił dzień urodzin syna swego, Januszka.

Przebieg pogody w miesiącu wrześniu 1912 r.

Sprawozdanie Kom. Fizyograficznej P. T. Kr.

Chłodna i wilgotna pogoda sierpnia nietylko nie poprawiła się we wrześniu, lecz była jeszcze daleko chłodniejsza i również pochmurna i słotna. Dni pogodniejszych da się naliczyć zaledwie kilka. Temperatury, jeśli wziąć pod uwagę wartości



fol. K. Sławidził.

7 PAŹDZIERNIKA SPADŁ ŚNIEG W WARSZAWIE OKRYWAJĄCY BIAŁYM CAŁUNEM. ZIELONE JESZCZE DRZEWA. (WIDOK PRZED POLITECHNIKĄ.)

średnie dzienne, były bardzo jednostajne, lecz pomiędzy dniem i nocą wykazywały często wielkie różnice. Wszelako najwyższe temperatury w dzień nie osiągały przeważnie 20°, w drugiej zaś połowie miesiąca temperatury prawie stale były niższe od 12°, a nocami powietrze oziębiało się bardzo mocno. Dnia 22-go września wystąpiły w niektórych okolicach pierwsze przymrozki nocne ze szronem.

Średnie temperatury miesięczne wahają się koło 9,2 C i są aż o 4° niższe od normalnych. Tak niskiej temperatury września, jak w roku bieżącym nie notowano w Warszawie ani razu w ostatnich 100 latach.

Również niezwykle skąpe było usłonecznienie: w Warszawie słońce świeciło wszystkiego 77 godzin, gdy średnio w ostatnich 9 wrześniach było po 157 godzin.

Natomiast opady były nader częste i obfite, zwłaszcza w pierwszej połowie miesiąca. Przebieg wysokości wody, spadłej w Królestwie przelęgą całego miesiąca wyniosła 71 mm. w 18—



19 dniach i jest o 65% większa od średniej dwunastoletniej (43 mm. w 9—10 dniach). W niektórych okolicach, jak w Lubelskiem, Miechowskiem, Płockiem wysokość miesięczna dosięgła 100 i więcej mm., w częściach Kaliskiego zaś, Łomżyńskiego i Suwalskiego wyniosła tylko 30—40 mm., lecz i tam nie była niższa od normy.

Na Litwie i Rusi pogoda była jeszcze słotniejsza, ciężko dając się we znaki rolnikom. Powietrze jednak na Rusi, a zwłaszcza na Ukrainie było nieco cieplejsze niż w Królestwie, co zresztą jest zjawiskiem normalnem we wrześniu.

W pierwszej połowie września maximum barometryczne leżało nad morzem Biskajskiem, minima zaś przeciągały raz za razem z wielką szybkością z Atlantyku ku półwypowi Skandynawskiemu; w następstwie takiego rozkładu ciśnienia przeważały w Europie środkowej wiatry zachodnie. Maximum powoli przesunęło się na północ, koło 19 września ogarnęło Skandynawię i trzymało się tam czas dłuższy, jednocześnie wiatry zwróciły się na północ i sprowadziły ostrzejszą pogodę. W końcu miesiąca zbliżyła się z oceanu nowa niżka barometryczna, a wtedy utworowały sobie drogę łagodniejsze powiewy południowo-wschodnie.

Niżej zamieszczone są dane ze stacyi P. T. Kr.

a) Temperatura:

Nowa Słupia: Temp. średnia mies. 9°,4. Temp. maks. + 15°,2 dnia 1-go. Temp. minim. + 1°,9 dnia 30-go.

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 9°,2 Temp. maks. + 13°,5 dnia 5-go. Temp. minim. + 1°,2 dnia 30-go.

b) Opady:

Wysokość w mm. Liczba dni

Łomża	53	21
Suchedniów (p. kielecki)	87	21
Nowa Słupia	97	22
Św. Krzyż	122	23

Bieliny	85	21
Jędrzejów (p. jędrzejowski)	74	21
Olkusz (p. kielecki)	91	—
Wysokie (p. krasnostawski)	107	18

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 62 godz.

oooooooooooo

Z piśmiennictwa.

× Wrześniowy numer „Architekta“ poza sprawozdaniem ze Zjazdu architektów i budowniczych w Krakowie, sprawozdania z posiedzenia dorocznego stałego komitetu międzynarodowego architektów w Paryżu i drobnymi wiadomościami przynosi w dziale ilustracyjnym przeszliczne reprodukcje modeli z konkursu na typy domów mieszkalnych, a mianowicie: na grupę trzech domów pp. Piotra Wiczyńskiego i Leonarda Mędelskiego (I nagroda) i Franc. Mączyńskiego (II nagr.), oraz na dom o tanich mieszkaniach dla 8 rodzin, Karola i Tadeusza Stryjeńskich (I nagr.) i Tadeusza Zielińskiego (II nagr.).

+ Jako secesya od znanego wydawnictwa „Wiesz ilustrowana“ ukazał się świeżo pierwszy numer „Wsi i dworu“ pod redakcją p. Kazimierza Laskowskiego. Nowe wydawnictwo posiada, oczywiście, jeśli to możliwe, w jeszcze wyższym stopniu wszystkie cechy dodatnie swego prototypu, zatem wytworny papier kredowy, świetne reprodukcje różnych rezydencji i dworków z różnych stron kraju, miłe widoczki rodzajowe, sceny z polowań, balów i wyczasów wiejskich, doborowe okazy inwentarza, mody, sport i piękne twarzyczki. Można przypuszczać, że dzięki tym zaletom wydawnictwo znajdzie u nas licznych przyjaciół i szerokie rozpowszechnienie.

TREŚĆ: Dr. Ignacy Tadeusz Baranowski — Tadeusz Korzon (z 1 ryc.). K. Przyszychowski — Na Niżu Dnieprzym (z 2 ryc.) Edward Maliszewski — Czarnogórze. M. W. — Czorsztyn (z 2 ryc.) J. M. G. — Jeszcze kilka słów o Mereczu (dok.). M. F. — Witebsk i Witebszczyzna (c. d.). — Listy do Redakcyi. — Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Z piśmiennictwa.

Winięty tytułową i ozdoby w tekście (motywy kaszubsko-pomorskie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.